

JÓZEF BABICZ /1892 - 1939 /

Nasz dziadek i pierwsza ofiara okupacji niemieckiej w Wisznicach

P o c h o d z e n i e

Dziadek, Józef Babicz, syn Agnieszki i Jana, urodził się w 1892 r. Jego rodzice są pochowani na cmentarzu parafialnym w Wisznicach. Według przekazów rodzinnych nasz przodek, dziadek Józef, przybył jako porucznik austriacki, pochodzący z terenów byłej Jugosławii, do majątku w Jabłoni. Tam poznał kuzynkę ówczesnych właścicieli. Para pobrała się i nie wrócił już w rodzinne strony. Dziadek Józef utrzymywał kontakty z ówczesnymi właścicielami Jabłonia, ale nie wiem, w jakim charakterze. Mamusia Regina (córka Józefa) opowiadała, jak na jedną z takich wizyt zabrał ją ze sobą. W czasie tych odwiedzin służba oprowadzała ją po całym pałacu, a dziadek Józef (jej ojciec) omawiał jakieś sprawy z właścicielami. Mamusia była zachwycona tym miejscem, szczególnie utkwiała jej w pamięci lustrzana komnata.

Dziadek Józef miał starszego brata, Jana, który przed wojną mieszkał z rodziną w Warszawie i był szoferem w jednej z instytucji rządowych. Miał trzy siostry: Marię, Annę i Walerię. Maria Jaroszewicz przez cały czas mieszkała w Wisznicach przy ul. Rowińskiej. Anna Orzechowska w 1926 r. wraz z mężem i dwójką małych dzieci wyemigrowała za ocean, do Kanady. Zamieszkali w Edmonton w prowincji Alberta. Waleria Dmitriewa Iwanowna - najmłodsza - mieszkała w Brześciu n/Bugiem. Tam ją zastała wojna i nigdy już nie wróciła na stałe do Polski. Przyjeżdżała kilkakrotnie z wizytą, ale dopiero w latach 60-tych XX w.

Żadne z piątki rodzeństwa nie zajmowało się rolnictwem.

D o r o s ł e z y c i e

Józef Babicz utrzymywał się, prowadząc założoną przez siebie betoniarnię. Był to jedyny zakład tego typu w okolicy. W sezonie, gdy było ciepło na zewnątrz, zatrudniał robotników, którzy też otrzymywali wyżywienie. Gdy podrosł jego najstarszy syn Zygmunt, też tam pracował.

Dziadek przeważnie zajmował się pracami organizacyjnymi, zakupem potrzebnych materiałów, zbytem itp., ale w czasie pilnych terminowych prac stawał się pracownikiem fizycznym. Z zatrudnieniem pracowników nie było problemów, podobnie i ze zbytem produktów.

Józef ożenił się z Matyldą Górską, córką Franciszki i Władysława. Jej rodzice mieszkali na Wygodzie, mieli spore gospodarstwo rolne oraz sad owocowy i żyli w miarę dostatnio. Była to szanowana, zasobna i patriotyczna rodzina. Z tego małżeństwa urodził się w 1919 roku syn Zygmunt oraz w 1921 r. córka Regina.

W roku 1923 zmarła ich mama, a moja babcia, Matylda, zostawiając dwoje małych dzieci w wieku 2 i 4 lat. Dziadek Józef ożenił się ponownie z rodzoną siostrą pierwszej żony, Janiną, z którą miał dwóch synów. Marian urodził się w 1928 roku i Edmund, wszystkim znany jako Wojtek, w 1930.

Druga żona zmarła w 1936 roku, zostawiając swoich synów w wieku 6 i 8 lat.

Dziadek z rodziną mieszkali w Wisznicach przy ul. Warszawskiej (Dubickiej), naprzeciwko szkoły powszechnej. Ich posesja była duża, a dom raczej mały, składał się z sieni i czterech pomieszczeń mieszkalnych oraz oszklonego ganka. Przez podwórko przechodziła droga. Obecnie jest to ul. Krzywa. Dochodziła do ul. Warszawskiej pod kątem, tworząc klin. Na nim stał dom mieszkalny przy ul. Warszawskiej, szopa przy ul. Krzywej i studnia murowana z korbą. Po drugiej stronie drogi (ul. Krzywej) stał do niej szczytem duży murowany budynek. Miał dwuskrzydłowe, szerokie drzwi. Na dłuższej ścianie, przy końcu budynku, drzwi były węższe. Obok stał murowany budynek, tzw. pracownia. Znajdowały się w niej bardzo starannie wyczyszczone, zakonserwowane ropą, maszyny i formy do wyrobu prefabrykatów. Produkowano tam kręgi betonowe, pustaki, cegły, dachówkę, gąsiorki na szczyty dachów. Poza tym robiono też nagrobki. Między ww. budynkami wybetonowano plac, na którym ustawiano betonowe prefabrykaty.

Tak sobie wyobrażam dziadka Józefa

Ze strzępków opowieści mojej mamusi Reginy wyłania się następujący obraz jej ojca. Dziadek Józef to człowiek stateczny, kontaktowy, nowatorski, dbający o porządek w pracowni i obejściu, bardzo schludny i wymagający od dzieci tego samego. Szczególny nacisk kładł na obuwie, które musiało być czyste. Synowie nie mogli położyć się spać, dopóki nie wyczyścili butów z błota, wypastowali i wyglansowali, ustawiając je przy drzwiach.

Uwielbiał dzieci, nie tylko swoje, a one odpłacały mu tym samym. Z całej ulicy przybiegały do pana Babicza, a on potrafił z nimi przebywać, coś im tłumaczył, robił zabawki. Na Wielkanoc każde dziecko dostawało od niego własnoręcznie wytoczoną na tokarce i pomalowaną farbą drewnianą pisanekę.

Był tzw. „złotą rączką”, wiele rzeczy potrafił wykonać własnoręcznie lub naprawić. W naszym domu pozostał wykonany przez niego stół z szufladą i pięknie toczonymi nogami, bardzo elegancki, pomalowany na brązowo. Farba nie straciła barwy przez wszystkie lata, a rodzice używali go do końca swoich dni. Również pozostały po dziadku stoliki pod kwiaty w kolorze mahoniowym, bardzo starannie wykonane. Służyły nam przez długie lata. W wisznickim kościele, wcześniej w starym, a potem w nowym, podczas uroczystych procesji noszony był przez kobiety duży różaniec. Nie wiem, czy jeszcze do tego służy, ale za moich młodych lat tak było. To własnoręczna robota mojego dziadka. Przypuszczam, że betoniarnia działała od wiosny do jesieni, a zimowy czas poświęcał na wytwarzanie przedmiotów z drewna. Sądzę też, że miał maszyny i narzędzia do obróbki drewna.

Będąc już podwójnym wdowcem, po pracy, czy to w betoniarni, czy jakiejś innej, dziadek bardzo dbał o swój wygląd i zawsze elegancko ubrany wychodził z domu.

Do jego towarzystwa należeli: miejscowy lekarz, aptekarz, weterynarz (weterynarz później przeprowadził się do Sławatycz) i ksiądz Bronisław Turski. Panowie przeważnie grali w karty, w wista - towarzysko - nie na pieniądze. Czasami „drinkowali”, ale z umiarem. Dziadek bardzo dbał o swój autorytet. Nikt nigdy nie widział go pijanego. Jeździł do Warszawy do swojego brata Jana. Czasami zabierał ze sobą córkę Reginę. Mamusia leczyła tam zęby. Przebywała też w Warszawie, kiedy sprowadzono szklaną trumnę z ciałem Św. Andrzeja Boboli. Uczestniczyła w uroczystościach.

Brat dziadka, Jan, zlecił mu wybudowanie domu na działce leżącej na wprost jego zabudowań przy ul. Warszawskiej. Działka była duża, ciągnęła się od ul. Warszawskiej, gdzie miał stanąć dom, aż do rzeki Zielawy. Dom ten był dużo większy od naszego. Za domem znajdował się ogród, a dalej łąka. Sąsiadami dziadka byli, z jednej strony państwo Stanisława i Józef Kuna, z drugiej strony pan Edward Korszeń (może Korszun). Do czasów wojny dom był niezamieszkały, więc dziadek Józef umieścił tam założone przez siebie Koło Związku Strzeleckiego, zwanego potocznie „Strzelcem”, którego był komendantem. Na wyposażeniu Koła były karabinki sportowe, tzw. „flowery”, służące do ćwiczeń.

Dziadek był też rajcą - radnym samorządu tego miasteczka. Pragnął, aby Wisznice dobrze się prezentowały. Dążył do tego, aby w miejsce obskurnych bud, służących do handlu, pobudować w centrum Wisznic dużą halę i przenieść do niej kramy handlowe. Podobno projekt ten miał być w niedługim czasie realizowany.

P o c z ą t e k w o j n y

W pierwszych dniach wojny, gdy rząd i inni dostojnicy uciekali z kraju do Rumunii, jacyś państwo, kobieta i mężczyzna, zatrzymali się u dziadka Józefa na noc. Mężczyzna z dziadkiem zamknęli się w pokoju, zaznaczając, aby im nie przeszkadzano, a oni rozmawiali do późnej nocy. Mamusia musiała „zabawiać” kobietę, ale gdy rozmowa się przeciągała, obie położyły się spać. Rano kobieta otworzyła dużą walizę całą wypełnioną banknotami. Chciała zapłacić za nocleg, ale mamusia powiedziała, że u nich nie hotel i nie weźmie pieniędzy, więc ta kobieta odjeżdżając, rzuciła na stół banknot o dużym nominale. Goście odjechali w nieznaną. To musiał być ktoś ważny i znajomy dziadka Józefa, bo dziwnym trafem zjawili się w małym, zwykłym domku na nocleg, mając tyle pieniędzy. Do tego o czymś rozmawiali na osobności tak długo.

S o w i e c i

Tak mamusia nazywała wojsko ze wschodu. Po wkroczeniu ich do Wisznic (25 września 1939 r. - *przypis Jerzy Osypiuk*) zostali zatrzymani (przez tzw. Komunistyczny Komitet Rewolucyjny - *przyp. J. Osypiuk*): ks. Bronisław Turski, aptekarz, wójt i Józef Babicz. Siedzieli w tzw. kozie, murowanym budynku za Gminą. Gdy chodziłam do liceum to jeszcze tam stał. Nie wiemy, co się z nimi działo, bo po powrocie do domu dziadek nic nie chciał powiedzieć, tylko leżał, cały dzień zwrócony twarzą do ściany. Nie spał. Na natarczywe pytania swojej córki Reginy tylko tyle powiedział, że lepiej, jak nie będzie wiedziała, bo to bardzo niebezpieczne. Nie wiadomo, dlaczego ich zatrzymano i to w takim składzie, czy był jakiś wcześniejszy donos, czy też profilaktycznie. (Na mocy porozumień pomiędzy okupantami Sowietów opuścili Wisznice 6 października 1939 r., a w nocy z 7/8 października ponownie wkroczyli Niemcy – *przyp. J.O. za Tadeusz Doroszuk Gmina Wisznice w latach okupacji hitlerowskiej 1939-1944. Lublin-Wisznic 2019, str. 30.*)

W przeddzień tragedii

Niemcy kwaterowali w budynku szkoły powszechnej. 30 października przyszli do domu dziadka w celu przeprowadzenia rewizji. Przeszukali dom i strych. Tam znaleźli nóż, który leżał na małym stole. Służył do krojenia przechowywanego mięsa i wędlin. Chodziło o to, aby nie chodzić po stromych schodach z nożem. Niemcom to wyjaśnienie nie spodobało się, no i nóż został zarekwirowany. Następnie przeszukano szepę, w której znaleziono starannie zapakowane karabiny. Były bez zamków, więc bezużyteczne. Że była to broń z kółka strzeleckiego to pewne. Gdzie były zamki, nikt nigdy nie mówił i nie pytał o nie. A może te zamki były też gdzieś ukryte? Zdaje mi się, że nigdy się tym nikt nie interesował. Noc po rewizji dziadek spędził w domu, ale wyczuwało się podenerwowanie i niepewność tego co przyniesie jutro...

Dzień tragedii

Z okien domu dziadka Józefa widać było, kto wchodzi i wychodzi z budynku szkoły, gdzie kwaterowali Niemcy. 31 października w domu był dziadek Józef, jego córka Regina i syn Zygmunt. Gdy dziadek zobaczył trzech Niemców kierujących się w stronę domu, kazał swojemu synowi Zygmuntowi uciekać. Zygmunt zdążył uciec między budynkami i okrężną drogą, przez rzekę, pobiegł do swego dziadka Władysława Górskiego na Wygodę. Ten, usłyszawszy co się dzieje, dał mu konia i polecił ukryć się w lesie. Z domu przy ul. Warszawskiej dwóch Niemców poprowadziło dziadka Józefa do szkoły, a jeden został na zewnątrz pod drzwiami naszego domu. Kiedy mamusia próbowała wyjść z domu na zewnątrz, to ten kierował broń w jej stronę i krzyczał „Halt”. Próbowała wielokrotnie, ale bezskutecznie. Niemcy będąc jeszcze w domu, wypytywali o Zygmunta. Słyszając w powtarzanej wielokrotnie odpowiedzi, że nie wiedzą gdzie jest, w końcu dali spokój.

Tymczasem w szkole odbył się tzw. „proces” w obecności tłumacza i zapadł wyrok skazujący. Gdy dziadka prowadzono pod kościół, mijał go nasz dobry znajomy, który opowiadał, co zaobserwował. Bardzo się dziwił, że pan Babicz, który zawsze pewnie i z gracją chodził ulicami, ledwo powłóczył nogami.

Na rynku był tłum ludzi. Zdaje się, że nikt nie wiedział, po co ich zwołano. Każdy czuł się swobodnie, rozmawiano i nikt nie domyślał się, co się za chwilę wydarzy. Dopiero gdy dziadka Józef postawili pod słup ogrodzeniowy przy kościele, a naprzeciwko niego pluton egzekucyjny z karabinami wycelowanymi w stronę dobrze im znanego człowieka, to po chwili zupełnej ciszy, słychać było płacz, lament, niektórzy się modlili, inni śpiewali nabożne pieśni. Znalazł się w pobliżu, nie wiadomo, czy na rozkaz, czy przez przypadek ks. Bronisław Turski. Skazanemu dano możliwość wypowiedzenia się. W tym tłumie znalazł się też jego syn Zygmunt, który zorientował się, że coś złego dzieje się na wisznickim rynku. Przeciskał się między ludźmi w stronę ojca stojącego przed słupem. Rozpoznał go ktoś znajomy, kto powstrzymał go mówiąc „mało, że ci ojca rozwałą, to i ciebie”. Padły strzały pięciu lub sześciu żołnierzy niemieckich. Dziadek osunął się na ziemię, a jego życie się skończyło. Pozostały tylko dziury w słupie.

Mamusia była przetrzymywana w domu, ale przeczuwała, że dzieje się coś złego. W pewnej chwili wpadała do domu zrozpaczona ciotka, siostra Ojca – Maria Jaroszewicz – mówiąc, że zabili Józefa. Zdziwiona Regina spytała jak weszła do domu, skoro Niemiec stoi z bronią pod drzwiami? Okazało się, że już go tam nie było.

Niedługo jacyś ludzie wnieśli do domu ciało jej ojca, które trzeba było przygotować do pochówku. Mama uczyniła to przy pomocy ciotki Jaroszewiczowej. Umyły go i przebrały. Ciało w ogóle nie miało pleców, a z przodu były otwory po kulach. Wylczyła, że było o jeden otwór mniej niż strzelających. Doszła do wniosku, że jeden z nich musiał być „porządnym Niemcem” i nie strzelał do celu. W miejsce, gdzie powinny się znajdować plecy, włożyły sześć lnianych ręczników, aby uformować sylwetkę zamordowanego. Wkrótce przyszedł rozkaz z Białej Podlaskiej, aby ciało rozstrzelanego zabrać i gdzieś dostarczyć, ale Niemcy odpowiedzieli, że rodzina zabrała ciało i pochowała. Tłumy ludzi przychodziły, aby go pożegnać. Tak samo było na pogrzebie, który odbył się łącznie z procesją w dzień Wszystkich Świętych lub Dzień Zaduszny. Od kościoła na cmentarz mężczyźni nieśli trumnę na ramionach, mimo że był podstawiony wóz konny. Ktoś zrobił nawet zdjęcie, a był przecież zakaz robienia jakichkolwiek fotografii.

Józef Babicz spoczął koło swojej pierwszej żony Matyldy. Miał tam zajęte miejsce, ale nigdy nie myślał, że nastąpi to tak wcześnie. Skończył życie w wieku 47 lat, zostawiając czwórkę samotnych sierot w wieku od 9 do 20 lat.

G r ó b

Na dużym placu koło domu pozostały wyprodukowane przez dziadka nagrobki. Jeden z nich, podwójny, stanął na grobie Matyldy i Józefa Babiczów. Stał tam do ok. 2010 r. Był ogrodzony potężnymi słupami betonowymi, połączonymi metalowymi prętami. Rodzina dbała o grób. Pamiętam, jak wielu ludzi przychodziło w to miejsce na Wszystkich Świętych, przystawało w zadumie, modliło się i odchodziło. Nie przypominam sobie, ab ktoś zamienił parę słów z rodziną, mimo że ta stała obok. Obecnie do tego grobu dołączył najmłodszy syn dziadka - Edmund. Pomnik został zmieniony.

A ż y c i e t o c z y s i ę d a l e j

Po tej rodzinnej tragedii Zygmunt ukrywał się w Łyniewie, bo tam była rodzina, która zapewniła mu kryjówkę. Ukrywał się przez całą zimę, a na wiosnę wrócił na Wygodę, bo trzeba było pomagać dziadkowi Górskiemu, który miał już 74 lata. W tym czasie Niemcy już go nie szukali. Mariana i Edmunda (Wojtka) wychowywał dziadek Władysław Górski i jego córka Wacława. Byli u nich, aż do dorosłości, natomiast córka Józefa Babicza, Regina, wyszła za mąż za Stanisława Rysza, który pochodził z okolic Krosna, a w okolicach Wisznic zajmował się pracami melioracyjnymi. Syn Zygmunt ożenił się z Henryką Włodarczyk, córką miejscowego organisty. Podzielili się domem, sień była wspólna. Każda para otrzymała po dwa pomieszczenia. Do nas też należał ganek i piwnica na ziemniaki pod sienią. Budynek, który stał szczytem do ul. Krzywej zmienił przeznaczenie i służył rodzinom jako chlewik. W

pracowni stały maszyny i formy używane sporadycznie. Sądzę, że na potrzeby własne, bo każdy z rodzeństwa z czasem poszedł na swoje.

Sąsiedztwo Niemców

Niemcy byli sąsiadami z naprzeciwka. Na dobre zadomowili się w szkole. Przychodzili po wodę, ale nie tylko oni, bo na ulicy było mało studni. Przychodzili także, aby pożyczyć narzędzia lub inne produkty. Zawsze oddawali. Sądzę, że stosunki były poprawne. Świadczy o tym fakt, który przedstawię: w chlewie potajemnie zabito prosiaka na własne potrzeby, a obowiązywał zakaz uboju. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Niemiec, aby coś pożyczyć. Wszyscy zamarli ze strachu, a on powiedział żeby się nie bali. Jak nikt nie poskarży, to nic złego się nie stanie. Zapowiedział, że wróci wieczorem. Przyszedł z dużą, pustą teczką, a wrócił do siebie z pełną mięsiwa.

Z opowieści mamusi też pamiętam, że kiedyś ktoś do studni wlał ropę. Chyba zrobili to na złość Niemcom, którzy z tej studni korzystali. Obawiano się, że z tego powodu będą jakieś problemy, ale na szczęście nie było.

W domu Jana Babicza przez pewien czas mieszkała niemiecka rodzina, która miała córkę w wieku mojej siostry. Niemka przychodziła z nią na podwórko, aby dziewczynki mogły pobawić się.

Był taki okres, że nasze rodziny wysiedlono (nie wiem kiedy). Przeprowadzili się na Wygodę. Zostawili pełną piwnicę ziemniaków. W ich domu Niemcy urządzili sobie kuchnię. Gdy później chciano zabrać te ziemniaki, to okazało się, że ich nie ma, bo Niemcy je zużyli. Tatusz zwrócił się do niemieckiego komendanta ze skargą. Ku naszemu zdziwieniu zapłacili rodzicom za poniesioną stratę.

Były też i przykre strony tego sąsiedztwa. Widziano wprowadzanych na plac szkolny Żydów, którzy już nigdy nie wychodzili. Słychać było strzały. Dużo słyszałam o Niemcu o nazwisku Pudel, który pasjonował się rozstrzeliwaniem Żydów, inni też nie byli lepsi. Opiszę pewien przypadek: Mamusia z małą córką na rękach (Wiesią) szła ścieżką między ogrodzeniem szkoły a zabudowaniami państwa Kunów, na skrót, na Wygodę. Na ich oczach jakiś Niemiec zastrzelił małego żydowskiego chłopca. Po strzale chłopak podskoczył w górę i padł martwy na ziemię. Wiesia zaczęła głośno płakać, a Niemiec zbliżał się w ich stronę. Podszedł do ogrodzenia, wyjął z kieszeni cukierka i dał dziewczynce, a ona rzuciła tym cukierkiem w Niemca. Pod mamusią ze strachu ugięły się nogi, ale nie było żadnych konsekwencji. Innym razem wszyscy z rodziny Babiczów przebywali na Wygodzie u Górskich. Niemcy zaczęli szukać Zygmunta. Przyszli na Wygodę, ale nie wiedzieli, w którym domu go zastaną, więc wstąpili do państwa Szymańskich z pytaniem, gdzie mogą znaleźć Zygmunta Babicza. Ich dom i dom Górskich znajdowały się w sporej odległości od głównej drogi, ale można było przejść na skrót, między rosnącymi tam ziemniakami. Pytani wskazali dom i okrężną drogę. Nim Niemcy tam doszli pani Szymańska przeczołgała się między ziemniakami i zdążyła uprzedzić Zygmunta, że go szukają. Ten wskoczył na konia i uciekł do Łyniewa. A Niemcom potrzebny był tylko cement i dlatego go szukali.

S ł u p

Przy słupie, gdzie był rozstrzelany dziadek, Józef Babicz, rodzina zrobiła ogrodzenie z żerdek. Nie było żadnego napisu. Tylko otwory po kulach, które przeszły ciało. Przypominały o tragedii, jaka tam miała miejsce. Mamusia corocznie na wiosnę sadziła kwiaty. Przeważnie bratki. Często chodziliśmy tamtą drogą na Wygodę, gdyż w lecie przebywała tam nasza krowa pasiona przez ogólnego pastucha; trzeba ją było codziennie doić. Wtedy mamusia stawiała przy słupie i ocierała płynące łzy. Miejsce zbrodni pozostawało w takim stanie przez wiele lat.

Kiedy mają siostra, Wiesława, pracowała jako nauczycielka w szkole w Wisznicach i pewnego dnia wracała do domu ulicą, obok słupa zastała ekipę, która montowała ogrodzenie z prętów metalowych. W tym czasie zawieszono tablicę informacyjną, która teraz znajduje się na słupie. Pod nią zamontowano ramkę ze szkłem, osłaniającą otwory po kulach. Z czasem ktoś pomazał szybką niebieską farbą. Po jakimś czasie została zbita. Teraz i ramka nie jest kompletna. Ale wtedy siostra dowiedziała się od pracujących tam robotników, kto im zlecił wykonanie tych prac. Byli to mieszkańcy Horodyszcz, a zlecenie otrzymali od organizacji kombatanckiej. Wkrótce miała być odprawiona w kościele Msza św. za pana Babicza w okrągłą (chyba 50.) rocznicę śmierci, zamówiona przez przedstawicieli tejże organizacji. Nikogo z rodziny nie powiadomiono. Siostra z mężem byli na tej Mszy św. Podczas jej trwania do ołtarza niesiona też była urna z prochami pomordowanych w Katyniu. Siostra była bardzo zbulwersowana tym, że urnę niósł przedstawiciel gminy, a nie ktoś z rodziny, za kogo odprawiana była Msza. Wtedy jeszcze żyli dwaj synowie i córka dziadka Babicza. Dla nich byłoby to wielkie przeżycie.

Po 2005 r., przed Wszystkimi Świętymi, porządkowałam grób dziadka Józefa, alejką cmentarną przechodził ksiądz i zatrzymał się przy grobie. Spytał, czy jestem z rodziny, a gdy potwierdziłam, zapytał, czy zgodzę się na to, aby słup, pod którym zginął dziadek, przenieść na teren przy starym kościele. Byłam zaskoczona tym pytaniem. Odpowiedziałam, że ja o tym sama nie zdecyduję, żyje jeszcze jego syn. Niedługo po tej rozmowie zaczęto układać płytki na ulicy przed słupem, w celu utworzenia w tym miejscu parkingu. Przy okazji zlikwidowano istniejące ogrodzenie.

P o l a t a c h

Mamusia bardzo przeżywała śmierć swojego Ojca. Była z nim bardzo związana. Może dlatego, że w wieku 2 lat została bez matki. Zawsze mówiła, że dużo łatwiej by się jej i nam żyło, gdyby ta tragedia się nie wydarzyła. Ale czas leczy albo zabliznia najgłębsze rany. Mama miała wytypowaną osobę, która wg niej przyczyniła się do tej tragedii. Nie okazywała niechęci do tej rodziny, ale była to nasza tajemnica. Kiedyś, gdy miałam ok. 12 – 13 lat, byliśmy na przyjęciu wielkanocnym u dobrze znanej nam rodziny. Wszyscy gościli się, rozmawiali, żartowali, aż im się znudziło i większość wyszła na zewnątrz. W pokoju został gospodarz, mamusia i ja. Wtedy byłam świadkiem pewnej rozmowy. Mamusia zwróciła się z prośbą, aby powiedział prawdę o tym, dlaczego jej ojciec zginął, a ona jest pewna tego, że on wie, ponieważ w tym czasie był ważną osobą w Gminie. To pytanie zdenerwowało rozmówcę

mojej matki. Zaczął tłumaczyć, że nie ma sensu po tylu latach rozgrzebywać tej sprawy, bo to nic nie zmieni. Ale mamusia nalegała, wtedy on, wzburzony. powiedział, że to przez halę i szybko wyszedł z pomieszczenia. Zawsze był bardzo miły, ale wtedy jego zachowanie mi się nie podobało. Nie wiem czy mówił prawdę, czy skłamał, czy mamusia uwierzyła, czy nie, ale to była pierwsza i jedyna wzmianka o tej hali. Dziwię się tylko, że obrała ten moment. Z tym człowiekiem żyła w przyjaźni od zawsze. Wiadomym jej było, że po tej tragedii po paru miesiącach zrezygnował z zaszczytnej funkcji w Gminie. Nie sądzę, żeby jeszcze kiedyś wrócili do tej rozmowy.

Gdy moja siostra Wiesława dorosła, chciała rozwiązać tajemnicę śmierci naszego dziadka. Zaczęła wypytywać mamusię, po co były mu potrzebne te karabiny, gdzie się podziały zamki do nich, dlaczego nikt nie mówi głośno o tej sprawie. Mamusia zawsze była płochliwa. Wszystkiego się bała, nikomu nie wierzyła, nie chciała z siostrą rozmawiać na ten temat, tylko płakała. Ale nagabywana wielokrotnie uległa, zobowiązując siostrę do zachowania tajemnicy, bo nie była pewna, jak tę wiadomość mogłaby przyjąć ówczesna władza. Opowiedziała, że do jej ojca parokrotnie przyjeżdżał gen. Sosnkowski. Zamykali się w pokoju i godzinami rozmawiali, nikt nie mógł im przeszkadzać. Planowali założenie na naszym terenie, na wypadek wojny, organizacji Związek Walki Zbrojnej. Dlatego też jej ojciec założył tzw. „Strzelca”, aby mieć broń i szkolić młodzież. Gdy wybuchła wojna, schował te karabiny. Co stało się z zamkami, mamusia nie wiedziała. Wszyscy byli przekonani, że ktoś musiał zdradzić. Ona się zawsze bała, żebyśmy nie miały kłopotów. Nie wiem, czy miało to wtedy jakiegokolwiek znaczenie.

Siostra zaczęła wypytywać starszych ludzi, którzy znali dziadka, co myślą o nim i jego życiu. Wszyscy rozmówcy mieli o nim bardzo dobre zdanie ale gdy pytała o przyczynę jego śmierci, rozmowa urywała się i radzono jej, aby tym się nie interesowała.

Ja natomiast przypadkowo uzyskałam informację na temat egzekucji dziadka. Było to już w latach 70-tych XX w. Rozmawiałam z pewnym starszym panem, a kiedy powiedziałam, że jestem z Wisznic, wtedy on się ożywił i powiedział mi, że na początku wojny, jako chłopiec, był świadkiem tragicznego wydarzenia w Wisznicach. Utkwiło mu ono w pamięci. Otóż nakazano wszystkim dorosłym mężczyznom ze wsi udać się na wiec do Wisznic. Pojechał z ojcem i innymi mieszkańcami furmanką. Byli świadkami egzekucji na Polaku przed kościołem. Jakie było jego zdziwienie, kiedy usłyszał, że ja jestem właśnie jego wnuczką. Bardzo się wzruszył. Opowiadał o faktach, które potwierdziły te wcześniej przez mnie poznane.

D o m y n a u l. W a r s z a w s k i e j (D u b i c k i e j)

Po paru latach wspólnego mieszkania w domu po dziadku Józefie, jego syn Zygmunt pobudował na tej samej posesji drewniany dom dla swojej rodziny. Na jego miejsce wprowadził się Marian, syn dziadka z drugiego małżeństwa, z nowo poślubioną Anną Mazurek. Mieszkaliśmy jakiś czas razem. Potem Marian rozpoczął budowę drewnianego

domu dla siebie na tym samym placu, obok domu Zygmunta. Oba domy stoją do dziś i są własnością spadkobierców. Część placu Marian odsprzedał. My, czyli rodzina Ryszów, przeprowadziliśmy się na Wygodę ok. roku 1952. Ostatnim mieszkańcem domu dziadka Józefa Babicza był jego najmłodszy syn Edmund (Wojtek) ożeniony z Marią Osmulską z Rossosza. Gdy się pobudował na Wygodzie, sprzedał działkę z zabudowaniami rodzinie o nazwisku Steckiewicz. Wszystkie trzy domy stoją do dziś.

Nie wiem, kiedy Jan i Barbara Babiczowie z Warszawy zamieszkali w swoim domu w Wisznicach, ale pod koniec lat 40-tych na pewno tutaj mieszkali. Jan Babicz zmarł ok. roku 1962, a jego żonę Barbarę zabrała do Anglii córka Zofia. Dom z działką został sprzedany rodzinie Szymoniuków.

Z a k o ń c z e n i e

Obecnie, wracając do wspomnień sprzed wielu, wielu lat, przypominając sobie, co mamusia opowiadała o swoim ojcu i o życiu w tamtym czasie oraz analizując różne publikacje na ten temat, dochodzę do wniosku, że dziadek Józef Babicz został rozstrzelany „t y l k o” za posiadanie bezużytecznej broni, a nie za działalność konspiracyjną. Widocznie ten życzliwy donosiciel nic o tym nie wiedział, a Niemcy nie wnikali w szczegóły. To eliminuje podejrzenie o donos osoby należącej do „Strzelca”. Dobrze się stało, bo gdyby wyszła na jaw jego działalność, dopadliby Zygmunta, dalszą rodzinę i innych działaczy Związku Strzeleckiego. Jak wyjawia w swojej książce Tadeusz Doroszuk dopiero pod koniec 1940 r. zainteresowano się Związkiem Strzeleckim. Członkowie musieli podpisać zobowiązanie o lojalności wobec władzy okupanta. Tak więc dziadek Józef Babicz stał się „pierwszą ofiarą okupacji niemieckiej w Wisznicach”, a słup, pod którym zginął, częstym obiektem fotografowania.

Dzieci, które po nim zostały, miały oparcie w rodzinie z Wygody. Największy wpływ na ich wychowanie mieli: ciocia Wacława, wujek Lucjan i dziadek Władysław Górski.

Wspomnienia spisała **Iwona Filipczuk**, wnuczka Józefa Babicza, córka jego córki Reginy i Stanisława Ryszów, na podstawie zapamiętanych wspomnień mamy oraz siostry **Wiesławy z Ryszów Parchomiukowej**.

Opracowanie redakcyjne: Jerzy Osypiuk